

Robert Scott Lidell

Zeppelin w Nowomińsku i inne wrażenia (1915 r.)

Rocznik Mińsko-Mazowiecki 20, 241-246

2012

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ROBERT SCOTT L I D E L L

Zeppelin w Nowomińsku i inne wrażenia (1915)¹

Był cudowny świt. Mleczna mgła wisiała nad polami. Przez tę białą koronkową zasłonę widziałem grupy zmęczonych żołnierzy. Co rusz pojawiały się resztki pułków piechoty formujące się na powrót po walce. Gdzieś natrafiałem wzrokiem na oddziały kawalerii z lancami, na których powiewały małe brudne flagi. Widziałem też pojedynczych jeźdźców na polach, niektórzy galopowali gdzieś z meldunkami, inni drzemali w siodłach. Słońce niczym żółty balonik szybowало nad ziemią, przypominając ogromnych rozmiarów gąsienicę. Wszędzie naokoło była cisza. Dało się słyszeć tylko powolne dudnienie pociągu. Chciałem spać, ale nie mogłem. Dochodziły do mnie głosy z pola. Czułem się jak pionek w grze; oficerowie, jak hazardziści obliczali swoje straty, gdy „nocna gra” się skończyła. Duże grupy żołnierzy stacjonowały wraz z furami, wozami i sprzętem wojskowym tam, gdzie usytuowano kuchnie polowe. Artyleria wycyfrowała swoich ludzi coraz szybciej, a Czerwony Krzyż „pakował” za każdym razem po 8, 10 lub 12 furmanek do pociągów. Ułan z wiązką siana, przewieszoną przez szyję jego konia, jacyś żołnierze wrywający rzepę z przydomowego ogródka, wiejska dziewczyna, łkająca samotnie przy wale kolejowym.

Dotarliśmy do Nowomińska o godzinie jedenastej. Oddaliśmy naszego ranego do punktu szpitalnego. Był to wielki namiot Czerwonego Krzyża, rozłożony w polu, obok stacji. Zaraz podeszli do nas oficerowie, żołnierze i służba kolejowa, pytając o nowe wieści z Warszawy. Jacyś Polacy opłakiwali stratę nowego mostu... Kosztował dziewięć milionów rubli. Mówiło o tym w podnieceniu całe miasto. Słyszałem ich falsetowe głosy. Spadła ulewa. Byliśmy bardzo przygnębieni.

Po południu poszedłem do miasta: kocie łby na chodniku, zabłocone drogi, brudne zamulone rynsztoki i rowy, zabiedzone drewniane chałupy. Artyleria z lawetą i platformy z amunicją, wozy z jedzeniem i paszą przemierzały miasto z północy na południe. Żołnierze piechotą maszerowali za oficerami, usadowionymi na koniach. Wielki automobil z oficerami i ich bagażami wjechał w błoto, rozbryzgując je na boki. Mężczyźni, kobiety i dzieci, praktycznie sami Żydzi, stali przed swoimi brudnymi drewnianymi domostwami, obserwując przejście oddziałów.

¹ Fragment wspomnień R. S. Lidell'a: *On the Russian Front*, London 1916. Tłumaczenie z języka angielskiego – Alicja Gontarek.

Nigdy nie widziałem takiego skrajnego ubóstwa, jakie wtedy zobaczyłem w Nowomińsku. W ogóle było coś cudownie malowniczego w tych ludziach: ich długie, ciasno pasowane czarne kapoty, małe okrągłe czapeczki²; pięknooka pulchna dziewczynka, której brudne łachy uwypuklały biel miękkiego ciała; cnotliwie wyglądający młodzieńcy z nieogolonymi twarzami i głodnymi wszystkiego oczami, spoglądającymi zza wielkich okrągłych drucianych okularów. Starzy ludzie przedstawiali się najbardziej malowniczo. Ich stonowany ortodoksyjny strój, długie czcigodne szare brody, wszystko to powodowało, że stanęli mi przed oczami niczym patriarchowie z samej Palestyny. Widziałem ich stojących ze spokojnymi twarzami, jak myli ręce w strugach deszczu, które spływały z niskich dachów ich domów. I pomyślałem o Mojżeszu i Aronie i innych biblijnych postaciach sprzed dwóch tysięcy lat. To byli Żydzi z Nowomińska, znienawidzeni, uciskani, poniewierani Żydzi... Chrześcijanie spieszyli ulicami z karabinami, armatami, szablami, harpunami, nożami, bagnietami i nabojami, ręcznymi granatami, szrapnelami, bombami...

W centrum miasta rozpościerała się otwarta przestrzeń z posępnym, zaniedbanym i zabloconym ogrodem. Blisko niego był duży dom, stojący na zalesionym terenie*. Podczas okupacji znajdował się tam sztab. Obok niego zaś można było dostrzec most, przerzucony przez rów. Nie można go jednak nazwać korytem strumienia. Za nim usytuowany był wielki rynek. Tu i tam stały budki z jedzeniem, szmatami i nędzną odzieżą. Dużo wozów z uchodźcami zatrzymało się tutaj. Było także wiele dorożek z uciekinierami, którzy zbiegli z Warszawy. Obserwowałem kuriozalne scenki. Bogatszy chłop wiózł ulicą w swoich długich, o dziwnych kształtach wozach, żywy inwentarz. Koń ciągnął wóz, krowa szła za wozem, cielątka, jeden albo dwa, ze związanymi nogami leżały na wozie z różnego rodzaju drobiem, wijącym się pod szeroką siatką. Czasami na wozie siedziała kobieta i dzieci, ale częściej szybkim krokiem szły przy wozie lub z tyłu.

Tej nocy była burza. Błyskawice i uderzenia pioruna pojawiały się jednocześnie. Deszcz lał jak z cebra. Wozy załadowane wielkimi ilościami siana przeleciały przez miasto. Błyskawice oświetlały ulice. Całą noc słyszało się krzyki ludzi, rżenie koni i posępne ryczenie bydła. A z opuszczonych domów, które teraz zajęli żołnierze dobiegała muzyka melodeonów i instrumentów strunowych, a także śpiew ludzi. Melodia, którą grali prawie wszyscy pochodziła z „Marriage Market”. Słyszałem ją setki razy w wagonach, wypełnionych ludźmi, przy ogniskach, w chałupkach i większych domach przerobionych na koszary. Jest to melodia, której nigdy nie zapomnę – kpiąca, ironiczna pieśń, która śmieje się i drwi pośród tragedii.

Po lewej stronie torów kolejowych, gdzieś na północy można było zobaczyć łunę po spalonej wsi. Niemcy byli blisko nas. Nadchodzili z trzech stron.

Nazajutrz, w piątek, 6 sierpnia życie w mieście toczyło się jak zwykle. Cały pułk obozował w ogrodzie, blisko stacji. Żołnierze leżeli pod owocowymi

² Chodzi o jarmułki

* Autor ma na myśli pałac Dernałowiczów [przyp. – Red.]

drzewami i spali. Pomiędzy nimi stały ułożone w stóg karabiny i rozłożone na ziemi ręczne granaty, w które zostali zaopatrzeni. Wojacy, którzy nie spali, gotowali posiłki na małym ogniu, gaworzyli wesoło albo śpiewali i grali swoje wesołe melodie na różnych instrumentach.

Obok linii kolejowej stała fabryka szrapneli. Maszyny z tej fabryki ładowano na wagony do Rosji. Jej wielkie hale służyły za stajnie do transportu koni albo sypialnie dla ludzi. Inne zaś wykorzystywał Czerwony Krzyż, który ustawiał tam swoje wozy z lekami, bandażami i innymi zasobami. Jeden z dyrektorów zakładu pozostał w Nowomińsku. Poznałem się z nim. Mówił mało, lecz wyraz twarzy wystarczał za tysiiąc słów.

Pociągi sanitarne przyjechały jeszcze tego samego dnia i wszyscy ranni z namiotów zostali zabrani. Zwinięto też same namioty. Poszedłem spać około jedenastej. Spałem w wagonie towarowym z młodym studentem medycyny. Około godziny pierwszej w nocy obudził nas przerażający odgłos eksplozji. Następnie, w odstępnie sekund nastąpiły kolejne cztery inne wybuchy. W międzyczasie przed ostatnią eksplozją zdążyłem wyjść z wagonu i zobaczyć, co się dzieje. Założyłem tylko buty. Cała stacja budziła się w podekscytowaniu. Wszyscy krzyczeli: *Zeppelin I*. I rzeczywiście to był Zeppelin I. Po raz pierwszy „nawiedził” Drugą Armię.

W tej trudnej sytuacji miało miejsce wydarzenie bardzo komiczne. Student medycyny był głównym w niej aktorem. Zadał mi jedno pytanie: *Zeppelin?* Krzyknąłem: *Tak!* W sekundę wyskoczył z wagonu i przemknął obok mnie, jak błyskawica. Nie miał nic na sobie prócz krótkiej białej koszulki. Gnał po mieście, aż zobaczył większy budynek. Zapukał do drzwi, ale nie było odpowiedzi. Nacisnął klamkę i pospieszył do środka. W domu tym spali zmęczeni żandarmi, którzy też zostali obudzeni przez wybuch bomb, ale nie mieli pojęcia, co to było. Jeden z nich rozjaśnił świecę i oczom jego ukazał się ogarnięty przerażeniem student, ubrany tylko we wspomniany biały podkoszulek. *Gdzie jest piwnica?* – krzyczał student. *Szybko! Piwnica!* Naturalnie żandarmi pomyśleli, że zwariował i aresztowali go. Chociaż był w stanie hysterii, zdołał wyjaśnić, że nad miastem pokazał się Zeppelin i, że chciał skryć się przed nim w piwnicy. Krzyki na temat Zeppelina dotarły do żandarmów z ulicy, więc wypuścili studenta. W domu tym nie było piwnicy, ale poniżej schodów znajdował się schowek na węgiel. Student wczółgał się w to miejsce i leżał tam, dygocząc przez kilka godzin, zanim powietrzny statek nie odleciał. Potem wrócił do mojego wagonu w tym swoim białym podkoszulku, teraz czarnym od węgla. Ubrudzone miał też nagie nogi i ramiona nie tylko węglem, ale też błotem.

W międzyczasie, na stacji próbowaliśmy dojrzeć Zeppelina. Nic nie dojrzeliliśmy, chociaż noc była gwiazdzista – tak bardzo zapełniona gwiazdami, że aż spadały na ziemię. Każda spadająca gwiazda powodowała dreszcz. Niektórzy ludzie krzyczeli: *Bomba!*, co wywoływało ogólną konsternację.

Rano wiedzieliśmy już, że Zeppelin z Nowomińska skierował się na wschód, na Siedlce. Zrzucił tam dwadzieścia dwie bomby. Poszedłem do miasta zobaczyć zniszczenia. Trzy z pięciu bomb spadły blisko kwatery sztabu. Dwie

następne około 300 jardów dalej. Zapewne jest prawdopodobne, albo raczej prawie pewne, że wszystkie bomby były kierowane na duże budynki, w których rezydowali oficerowie. Były one dobrym celem, dobrze oświetlone, podczas gdy reszta drewnianych budynków tonęła w ciemności. Kilka³ małych domów było jednak zburzonych, wiele szyb roztrzaskanych, a ściany wyszczerbione i pokruszone. Rannych nie odnotowano wielu. Jednym z nich był siostrzeniec Marii Curie – Składkowskiej, tej od radu. Został on ranny w klatkę piersiową, gdy podczas swojej wędrówki znalazł się w Nowomińsku. Został zabrany do naszego wagonu, gdzie się nim zajęliśmy. W parę dni wydobrzał. Aeroplan odwiedził nas też rano i zrzucił wiele bomb. Główne zniszczenia, które zrobił w naszej okolicy to zabicie dwóch koni, które stały niedaleko mojego wagonu.

Tego samego dnia, w sobotę, 7 sierpnia, sztab, Czerwony Krzyż i w ogóle miasto znalazło się w stanie ewakuacji. Pozostali tylko żołnierze, którzy jednak przygotowali się do wyjazdu. Zostałem w Nowomińsku sam i czekałem na porucznika Józefowicza i saperów, którzy na zachodzie, wzdłuż linii kolejowej, niszczyli mosty i punkty kolejowe. Niewielu żołnierzy widziało się w okolicach stacji. W nocy wycofali się na wschód.

O siódmej Taube krążył wokół nas i zrzucił bomby. Nikt nie został ranny. O dziesiątej zaczęło padać. Zrobiło się ciemno, zimno i przeraźliwie przygnębiająco. Skierowałem się na zachód, wzdłuż linii kolejowej, żeby spotkać saperski pociąg na moście, który miał zostać właśnie wysadzony w powietrze. Ten most znajdował się nad naszymi torami i jednocześnie tworzył linie kolejową nad nimi. W pobliżu znajdowała się pusta chata, do której się skryłem. Miałem świecę ze sobą, więc nie musiałem czekać w ciemności. W chacie nie było mebli – wszystkie zabrano, z wyjątkiem kołyski, która stała przy zimnym szerniałym piecu. Usiadłem na krawędzi tej kołyski. Na ścianie, w jednym z rogów nadal wisiały obrazki świętych, obramowane w fantazyjne obwódki kolorowego papieru. Miauczący kociak domagał się jedzenia, ocierając się o moje buty. Dałem mu kawałek suchego czarnego chleba, który zjadł łapczywie.

Zrobiłem się senny. Obawiając się zaśnięcia, które odłączyłoby mnie od saperów, wyszedłem i przespacerowałem się w kierunku mostu, pod którym stało dwóch wartowników. Nadal lał deszcz. Duże krople wody spadały z mostu do rozległej kałuży, która się pod nim zrobiła. Było ciemno i tajemniczo. Ledwie słyszałoby się jakiś ludzki głos. Nagle usłyszałem odgłos kroków na żwirze albo trzaśnięcie gałązki pod czymś butem. *Kto tam?* – jeden ze strażników krzyknął, unosząc broń.

Z najbliższej okolicy doszedł mnie głos. Nic nie widziałem, wszędzie panowała ciemność, tylko jakiś chłop albo chłopka minęli nas i poszli na wschód. Czasami dochodziły do mnie kroki chłopów albo żołnierzy nade mną, na torach kolejowych. Czekałem kilka godzin. Około godziny drugiej usłyszałem głośniejszą eksplozję za zachodzie, za płotem zobaczyłem lampy pociągu saperskiego. Z uczuciem ulgi, gdy się zatrzymał, wsiałem do niego. Zobaczyłem Józefowi-

³ Może również chodzić o kilkanaście. W języku angielskim słowo „several” oznacza kilka lub kilkanaście.

cza. Poczęstował mnie gorącą herbatą i chlebem z masłem. Pociąg ten był zwykłym towarowym wagonem, ale napchano go meblami z warszawskiego mieszkania Józefowicza. Dzięki temu miałem do dyspozycji prawdziwe łóżko, kanapę, pianino, nawet obrazy. Były też dwie małe gablotki i trzy fotele. Wszystko to podczas jazdy poruszało się i trzęsło.

Zostaliśmy w pobliżu mostu do rana, gdy założono wszystkie ładunki. Paczki z laskami dynamitu umiejscowiono w kilku miejscach mostu. Wszystkie miały połączenie z jednym drutem. Do niego z kolei podłączono inny drut, który przymocowano do naładowanej baterii. Następnie, gdy wszystko było już gotowe, porucznik odszedł na bezpieczną odległość ze swoją baterią, rozwijając jednocześnie przymocowany do niej drut, przekręcił rączkę i most z wielkim łomotem rozpadł się na kawałki. Ja i saperzy szybko podbiegliśmy do pozostałości mostu, żeby zobaczyć dzieło zniszczenia. W powietrzu unosił się gęsta mgła białego wapna. W niej dojrzałem żółtego motyla, trzepoczącego skrzydełkami... Na miejscu zjawił się też mój kociak z chatki, który wyszedł zobaczyć, co spowodowało taki huk. Jeden z saperów zabrał go ze sobą i umieścił w naszym wagonie.

W powietrze musiała wylecieć także wieża ciśnień i kolejowe budynki. To była, można powiedzieć, pracochłonna robota, zajmująca kilka godzin. Nowomińszczanie stali w bezpiecznej odległości i obserwowali całą operację. Połamana trakcja kolejowa paliła się, dolewano jeszcze benzyny, żeby wzniecić jeszcze większy pożar. Na koniec został jeszcze inny most ułożony nad małym strumykiem po wschodniej części, tuż za stacją. Też musiał zostać wysadzony. Saperski pociąg minął go i zatrzymał się 150 jardów za nim. Mieliśmy dwóch strażników ze sobą w wagonie, tylko jednego na koniu i dwóch dodatkowych w terenie. Armia zdążyła się już wycofać do tego czasu.

Saperzy zaczęli montować dynamit. Most eksplodował, ale porucznik Józefowicz nie był całkowicie usatysfakcjonowany. Powiedział, że most mógłby być dość łatwo naprawiony, więc zarządził założyć następne ładunki. W tym momencie przybył na koniu strażnik i zakomunikował, że niemiecka i austriacka kawaleria jest na drodze do miasta i wkroczy do niego w ciągu kilku minut. Potem odjechał na wschód wzdłuż linii kolejowej. Policzyliśmy się, było nas 32 ludzi, wliczając mnie, maszynistę i palacza, a także żołnierzy z bronią stojących przy nich w swoich kabinach. Józefowicz wysłał dwóch ludzi, żeby zabezpieczali nas od strony Nowomińska i rozkazał podłożyć laski dynamitu drugi raz. Saperzy pracowali spokojnie i metodycznie. Nie było pośpiechu w ich pracy.

Osobiście, patrząc na to wszystko, czekałem w zdenerwowaniu. Znowu deszcz lał strumieniami. Spoglądałem na dwóch strażników, stojących daleko na horyzoncie, na szczycie długiego pola, na którym ustawione było w stogi siano. Wydawali mi się tacy samotni. Z domku, stojącego blisko stacji dochodziła muzyka z gramofonu. Tłumek cywilów stał w otwartym oknie, słuchając melodii i przypatrując się nam z bezpiecznej odległości. Potem jeden ze strażników powiadomił nas, że wróg jest już w mieście. Zobaczył kawalerię ze szczytu pola, na którym pełnił wartę. Zaraz wrócił na swoją pozycję.

Po dziesięciu-piętnastu minutach nastąpiła eksplozja mostu. Józefowicz użył gwizdka, co spowodowało, że strażnicy, pełniący cały czas wartę, zaczęli biec w naszym kierunku. Słyszeliśmy już od strony miasta strzały wroga, z nim załadowaliśmy się do wagonu. Byliśmy odcięci wyrwą po dawnym moście. Nowomińszczanie spoglądali na nas, a potem przeszli do swoich rozrywek. Część z nich, bez wątplenia, było rozczarowanych, że nie będzie im dane obserwować walki między nami a Niemcami i Austriakami.

Praca saperów jest bardzo ważna i niebezpieczna, ponieważ muszą zawsze zostać na miejscu podczas, gdy reszta armii się wycofuje. Ale nasza lokomotywa musiała się cofnąć, żeby ruszyć do przodu...

Po drodze wysadziliśmy więcej obiektów kolejowych, podpaliliśmy wielką ilość siana i słomy, a także podłożyliśmy ogień pod dwa popsute wagony, stojące na bocznicach. Po godzinie zatrzymaliśmy się przy jeziorze. Pospieszaliśmy w dół do jego brzegów. Wrzuciliśmy do niego dynamit, ale nie było ryb, więc wróciliśmy do wagonu, kontynuując podróż. Około piątej po południu dojechaliśmy do małej stacji. Znajdowało się tam wielu uchodźców i nieliczni żołnierze. Jeden z nich grzebał w ogromnej stercie czarnego chleba, który zostawiła armia, próbując znaleźć kawałek nie zajęty pleśnią. Były tam też dwa rozległe stawy. Wrzuciliśmy do nich dynamit, ale ryby się nie pokazały. To samo zrobiliśmy w drugim stawie i po wybuchu na tafli wody wypłynęło bardzo dużo ryb. Kilka razy powtarzaliśmy tę czynność. Woda wzbijała się w powietrze niczym fontanna. Cały staw dudnił, a woda wylewała się na jego brzegi. Ryby ginęły setkami albo były ogłuszone. Żołnierze weszli do stawu, żeby je wybrać; inni rozbierali się do naga i wchodzili do wody po te łupy, aby włożyć je do butów. Do stawu weszli też chłopcy z rodzin uchodźców przebywających na stacji, a także w oddaleniu od nas brodzące dziewczynki, którym udało się zgarnąć z tafli wody małą liczbę szczupaków i innych niewielkich ryb. To była wspaniała zabawa. I pomyśleć, że dwie godziny wcześniej, my, w saperskim pociągu, znajdowaliśmy się w niebezpieczeństwie. Mogliśmy utracić wolność albo zginąć. Z łatwością wróg mógł nas zabić.

W nocy wysadziliśmy wieżę ciśnień, punkty kolejowe i kilka miejsc, gdzie krzyżowały się tory. W tamtym czasie wiele trakcji było już usuniętych przez kolejowe wojska inżynieryjne – tylko linia, po której my zdążyliśmy, pozostała nietknięta. Zniszczyliśmy ją po drodze. Wysadziliśmy też most, albo dwa, ale przespałem ten moment.

Ranek był przepiękny; nad nami przeleciały trzy wrogie aeroplany. Poleciały do Siedlec zrzucić bomby. Z porucznikiem Józefowiczem poszedłem na zachód, żeby zobaczyć most, który został w nocy zniszczony. Do tego czasu armia się praktycznie cała wycofała. Szliśmy, rozglądając się czujnie, ale miło się rozczarowaliśmy. Później, za dnia, pojechałem lokomotywą do Siedlec, gdzie ponownie dołączyłem do pułkownika Bargigliego, który miał swój pociąg. Był poniedziałek, 9 sierpień. Poprzedniego dnia, w sobotę ponad pięciuset austriackich więźniów przeszło koło stacji.